

– O czym rozmawialiście? – zapytał.

– O sporcie... Najdłużej o zbliżającym się meczu Polska – Włochy. Obaj byliśmy ciekawi, co też „Faja” wymyśli na Stadionie Dziesięciolecia – odpowiedziałem wymijająco.

Polska grała w grupie eliminacyjnej z Finlandią, Szkocją i Włochami. Pierwszym sprawdzianem naszych szans w tym gronie był właśnie mecz z Włochami. Zgrupowanie kadry odbyło się w AWF na Bielanach. Przez trzy doby, dzień i noc przebywałem z drużyną. Atmosfera doskonała, wieczorami przesiadywaliśmy w restauracji „Zorza”, co zresztą dość barwnie opisywałem na łamach „PS”. Selekcjonera Motoczyńskiego cieszyła dobra forma Pohla, dostrzegłem, że z Brychczym Ernest gra na pamięć. Koncewicz trzymał zawodników na dystans, nawet jego pupil Jan Liberda nie miał taryfy ulgowej.

– Panie trenerze – pytał grzecznie – czy Staszek Ośliżło i ja możemy wyjść do baru mlecznego na koktajl owocowy? Wrócimy za pół godziny...

Wieczorem cała ekipa wybrała się do teatru „Komedia” na sztukę „Billy kłamca”. Byłem tam razem z nimi. Także w Pałacu Kultury i Nauki na filmie „The Beatles”. Nawet tam Edek Szymkowiak żył niedzielnym meczem z Włochami.

– Makaroniarze nie popuszczają!... Będzie gorąco! – przekonywał Jana Banasia.

– Lubię takie gry! Wpływają na mnie mobilizująco...

Obserwowałem to spotkanie z ławki rezerwowych. Koncewicz mocno skoncentrowany. Cichutko nucił smutną pieśń z lat swego dzieciństwa. *„W dzień deszczowy i ponury z Cytadeli idą w góry. Szeregami lwowskie dzieci... Idą tułać się po świecie”*. W czasie meczu trochę pokrzykiwał, ale jego uwagi były niezwykle celne:

– Grzegorz – to do Ryśka Grzegorzczyka – prowadź jeszcze, nie trać piłki... Nie do najbliższego!

– Roman! – ostrzega Bazana. – Teraz uważaj. Wyjdź do przodu, oddaj piłkę Nierobie i natychmiast wracaj na swoją pozycję...

Znowu coś nucił, ale grę czytał bezbłędnie. Teraz dopingował Liberdę:

– Jasiu! Skacz do górnych piłek. Jesteś wyższy od Burgnicha...

Selekcjoner Motoczyński też skupiony, milczący, ukradkiem zagryzał wargi. Kiedy jednak w 65 minucie błysnął Liberda, nie wytrzymał:

– Ale ich Janek „zakrecił”. Teraz znowu „Kici” i Banaś!... Finisz jest nasz!

Włosi chyba trochę „podpuchli”...

Nagle Riverę zaatakowało dwóch Polaków:

– Nie! – krzyczy „Faja”. – Jeden! Tylko jeden!

Giacinto Facchetti podciągnął z piłką aż pod strefę Bazana:

– Banaś, idź za nim! To twój obrońca!

Po meczu młodociany kibic zmartwiony bezbramkowym remisem zapytał:

– Panie Liberda, jakie mamy szanse w Rzymie?

– Takie same, jak w Warszawie...

W meczu z Włochami w Warszawie nie padł ani jeden gol. Żadna z drużyn nie kwapiła się do husarskich ataków. Włochów, od lat mistrzów gry obronnej, te puste bramki w pełni zadowalały, natomiast Polaków nieco rozczarowały. Można było wygrać... Jak będzie na boisku rywala? Najpierw trzeba zdobyć punkty w meczach ze Szwecją i Finlandią. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić... Kolejny mecz w Polsce z Wyspiarzami znowu zakończył się podziałem punktów. Odbijemy sobie te niepowodzenia w Helsinkach na Finach – pocieszano się w PZPN.

Trener Koncewicz wolał jednak dmuchać na zimne. Obserwował mecz Szwecja – Finlandia (2:2) i nie miał po nim najlepszej miny:

– Bez dobrego przygotowania nie ma po co jechać do Helsinek.

Pierwszy mecz z Finami odbył się we wrześniu. Dla reprezentacji nie najlepszy to termin, w tym czasie Górnik zmagał się bowiem z Austriakami i Czechami w rozgrywkach o Klubowy Puchar Europy. Koncewicz zabrał jednak do Finlandii czterech piłkarzy z Zabrze (Oślizło, Pohl, Szołtysik, Lentner),

wszyscy zagrali słabo. Pozostali nie byli lepsi. Już przed meczem na stadionie olimpijskim w Helsinkach, dostrzegłem, że atmosfera w zespole jest minorowa. Wszyscy jakoś dziwnie posępni, markotni. Wraz z wiceprezesem PZPN Klemensem Nowakiem przechadzałem się po długim korytarzu. Zawodnicy w szatni. W pewnym momencie pojawił się trener Koncewicz. Spojrzał w moim kierunku i zapytał:

– Ciekawi pana, jak dzisiaj zagrają? Mnie też... Są jacyś osowiali, mało co do nich dociera. Dlatego na moment wyszedłem z szatni. Może się uspokoją...

Niestety, Polacy nie byli przygotowani na walkę z atletycznie prezentującym się przeciwnikiem. Gra już się toczyła, ale nasi jakby przechodzili obok niej. O czym myśleli? Finowie rychło ten stan wykorzystali i po kilku minutach prowadzili 2:0. Bałagan w grze, nikt nie potrafił tego uporządkować. Błędy popełniali nawet Szymkowiak i Oślizło, a Ernest Pohl potencjalny lider drużyny chował się za plecy fińskiego obrońcy. Cały zespół grał zupełnie inaczej niż nakazał Koncewicz. Po meczu wszedłem do szatni, a tam grobowa cisza. Nie ma skorych do rozmów. Dopiero po jakimś czasie z żalem w głosie wykrztusił Edward Szymkowiak:

– Nie udało się, zawiedliśmy... Ale za tę przegraną obciążono głównie mnie. To boli... Poza Szoltynikiem i częściowo Gmochem źle grała cała drużyna. Był to chyba mój ostatni występ w reprezentacji. Przykre pożegnanie...

W rewanżowym meczu z Finlandią w Szczecinie w bramce zagrał Marian Szeja z Zagłębia Wałbrzych i – co jest szczególnie godne uwagi – po dość długiej chorobie, niejako po raz drugi, zadebiutował w reprezentacji Włodzimierz Lubański. Prawdziwe wejście smoka! Włodek strzelił Finom cztery bramki! Jeszcze dwie dołożył Jerzy Sadek, jedną Pohl i tak za fatalne 0:2 w Helsinkach narodził się srogi rewanż 7:0. Szczecin – to miasto wyjątkowo szczęśliwe dla Lu-

bańskiego. Tu właśnie, 4 września 1963 roku, jako szesnastolatek zagrał po raz pierwszy w reprezentacji. Zdobył wtedy jedną z dziewięciu bramek. 9:0 – rekord trudny do pobicia!

Słyszałem i przeczytałem mnóstwo opowieści o tym spotkaniu i chłopięcym debiucie Włodka. Wiele tych doniesień nadmiernie ubarwiono, przy tym często mijając się z prawdą. Ja tak to widziałem. W Szczecinie odbywało się zgrupowanie kadry. Selekcjoner Wiesław Motoczyński dodatkowo powołał Lubańskiego. Ale nie jako kandydata do reprezentacji Polski na „dziś” tylko „na jutro”, z myślą o jego przyszłości. Na razie Włodek był przygotowany do udziału w przyszłorocznym turnieju UEFA w Holandii. W towarzystwie Roberta Gadochy, Zygmunta Anczoka, Stefana Klińskiego i kolegów miał tam wywalczyć dla Polski pierwsze miejsce. Los chciał inaczej...

Kończyło się zgrupowanie. Trenerzy Tadeusz Foryś i Waclaw Pegza mieli już swoich faworytów, ale ostatnie słowo należało do Motoczyńskiego. Bardzo przypadł im do gustu dobrze ułożony i już nieźle wyszkolony chłopiec z Gliwic, ale wiedzieli, że jego miejsce jest jeszcze w drużynie juniorów. Taka była decyzja prezydium PZPN. Dopiero w Holandii Lubański ma się pokazać Europie. A teraz czeka go podróż na mecz juniorów w Białymstoku. Już pakował torbę ze sprzętem. Na to wszystko przyjechał z Warszawy Motoczyński.

– Witajcie panowie. Co słychać? Jak z formą? Kto najlepszy? Czy Gałeczka zagra na prawym skrzydle?

– Mamy techniczną drużynę, są: Brychczy, Blaut, Szoltyś – odpowiada Foryś. – Brakuje nam do nich szlagierowego napastnika. Znależlibyśmy, ale...

– Nie certuj się – przerywa Pegza – powiedz, że zadziwił nas ten młokos z Górnika Zabrze, Lubański... Chętnie byśmy go wstawili na prawe skrzydło.

– To niech gra! – zdecydował selekcjoner.

– A prezydium PZPN, juniorzy, Białystok?...

– Biorę to na siebie. Tylko go za bardzo nie przemęczajcie, zaraz po przerwie wpuście Gałeczkę.

Pierwszy mecz Włodka, pierwsza bramka w reprezentacji i aplauz widowni. Magister Foryś jak wytrawny scenarzysta w odpowiednim momencie, przywołał juniora do siebie, wyściskał i ucałował. Uszczęśliwiony Włodek z rękami wzniesionymi ku niebu, przy trudnym do opisanego szaleństwie kibiców, burzy oklasków, wzdłuż linii bocznej kierował się ku szatni. Dziewczęta posyłały całusy. Mają nowego idola! Obserwowałem to wszystko z łezką w oku. Dokładnie przed rokiem w Zielonej Górze piętnastoletni Lubański dopiero dał próbkę swego wielkiego talentu, a teraz w Szczecinie był już partnerem asów drużyny narodowej Brychczego, Oślizły, Blauta. Włodka zabrakło w meczach z Włochami, Szkocją i w pierwszym spotkaniu z Finlandią, to i goli było niewiele. Powrócił do drużyny i natychmiast zmienił jej oblicze.

Wygrana 7:0 w Szczecinie i wcześniejsze 2:1 ze Szkocją na Hampden Park jeszcze na moment zrodziło nadzieje na powodzenie w eliminacjach mistrzostw świata. Teraz trzeba tylko wygrać z Włochami w Rzymie. Lubański pomoże? Zdobył jedną bramkę dla Polski, ale gospodarze aż sześć i to oni w roku 1966 pojechali na turniej finałowy do Anglii. O kulisach tego nieszczęsnego 1:6 kilkakrotnie rozmawiałem z trenerem Koncewiczem.

– Raz w życiu – powiedział – właśnie przed meczem z Włochami nie potrafiłem przeciwstawić się prezydium PZPN. Wymogło na mnie irracjonalny plan taktyczny: cały czas trzeba atakować, bo to nasza jedyna szansa! Pod tym kątem zestawiałem drużynę. Było w niej praktycznie sześciu napastników: Liberda, Lubański, Sadek i Lentner w przodzie i tuż za nimi, niby w linii pomocy – Pohl i Szoltyśnik. Żaden z nich nie był mocny w destrukcji. A Włosi atakowali z pasją. To musiało się zakończyć katastrofą.

POLONIA BYTOM Z PUCHAREM AMERYKI

Działacze Polonii Bytom już w 1945 roku kontynuowali na Śląsku, gdzie ich pognały „wichry wojny”, tradycje Pogoni Lwów. Dwukrotnie wywalczyli mistrzostwo Polski, jedno właśnie pod wodzą Koncewicza. Jednak sztandarową postacią, tak – jak niegdyś w Pogoni, był w Polonii Michał Matyas. Wyśmienicie grał w obu tych klubach, w Bytomiu był też wysoko cenionym trenerem. Człowiek sukcesu. Rok 1965 był od tym względem dla „Myszki” szczególny. Triumfował z Polonią w rozgrywkach o Puchar Rappana. Wprawdzie był to turniej pomyślany głównie jako przetarcie dla „europejskich średniaków”, to jednak i tu naszym drużynom klubowym nie było łatwo. Dopiero w roku 1965 właśnie Polonia z trenerem Matyasem przełamała wieloletnią niemoc.

Bytomianie przez eliminacje przeszli jak burza. Pierwszy mecz w finale, do którego awansowało również SC Lipsk z NRD, Polonia przegrała aż 0:3. Znowu po herbacie? Minorowy nastrój pogłębił się, gdy Niemcy w Bytomiu strzelili Polakom czwartą bramkę. Czy ktoś o zdrowych zmysłach mógł wtedy przypuszczać, że bytomianie w ciągu pozostałych 27 minut strzelą pięć goli, odrobiją straty i sięgną po puchar? Tę część drugiej połowy meczu Polacy zagrali jak natchnieni. Najpierw Jan Banaś wyrównał na 1:1, za chwilę „jedenastkę” za faul na Liberdzie wykorzystał Ryszard Grzegorzcyk. Pojawił się cień szansy. Ale do końca meczu pozostało tylko pięć minut. Kibice nie tracą nadziei, wstają z miejsc, bo nawałnica trwa. A nuż zdarzy się cud... Jerzy Józwiak, po raz drugi Jan Banaś i Norbert Pogrzeba strzelają kolejne bramki! Jest zwycięskie 5:1! Puchar Intertoto dla Polonii Bytom. Wiwat Szymkowiak, Liberda i spółka!

Mister Cox, który w latach 1963 – 1964 postawił na Górnika Zabrze i Zagłębie Sosnowiec, tym razem do USA zaprosił Polonię Bytom. Wybór słuszny,

postrzegany jako nagroda za sukces w Pucharze Rappana i dobrą grę w polskiej lidze. Czy teraz uda się zawojować Amerykę? Pierwsze remisowe mecze nic dobrego nie wróżyły. W trzecim znowu remis, tym razem z West Bromwich Albion. Do kolejnych spotkań o ciężarze „być albo nie być” Polonia przygotowywała się w Chicago, u byłego piłkarza Pogoni Lwów Adama Wolanina. Lwowskie nastroje uskrzydliły drużynę. Zaczęła wygrywać: z Ferencvarosem 2:1, rewanż z West Bromwich 6:0 i z Kilmarnockiem 2:0. Jest mistrzostwo grupy! W Nowym Jorku owacjami na stojąco rodacy dziękowali polonistom za efektowne wyjście z grupy. Teraz na drodze polonistów do finału stają New Yorkers, mistrzowie drugiej grupy. Rywal odprawiony 3:0 i 2:1! Siedem i pół tysiąca rodaków znowu śpiewa „Sto lat” i bije brawa.

Bardzo przydały się w tej wyprawie posiłki z Ruchu Chorzów i GKS Katowice. – opowiadał przez telefon trener Matyas. – Faber, Nieroba i Szmidt są znakomici. „Zyga” nastrzelał tu sporo bramek... Dobrze zastępuje kontuzjowanego Janka Liberdę... W Nowym Jorku są już piłkarze Dukli Praga. Obserwowali nas... Wiedzą, jak gramy. Ale my się ich nie boimy!

Pierwszy mecz z Duklą zaskoczył wszystkich: Coxa, trenera Jaroslava Vejvodę, kibiców i nowojorską prasę. Polonia wygrała 2:0, a bramki zdobyli Jan Banaś i Antoni Nieroba. Wielu polonusów miało łzy w oczach. Tu, na obczyźnie dzięki piłkarzom mówi się teraz o Polakach dużo i z większą sympatią. Trzeba jeszcze raz dobrze zagrać z Duklą...

– Bramki nie decydują! – oznajmił mr. Cox. – Jeśli rewanż wygra Dukla, będzie dogrywka...

– Dogrywki nie będzie! – zapewniał przez telefon trener Matyas.

Był remis 1:1. Zwycięska Polonia! Dukla na aucie!...W latach 1960 – 1964 podopieczni Vejvody wygrywali każdy finał Pucharu Ameryki. „Dopiero Polacy przerwali monopol Dukli – rozpisywała się nowojorska prasa.

Na pierwsze spotkanie Polonii z Duklą z Chicago do Nowego Jorku przyleciało tysiące polskich kibiców. Wyprawę zorganizował klub polonijny „Białe Orły”. Przyleciał też Adam Wolanin, przyjaciel Matyasa ze Lwowa. Wojna ich rozłączyła. „Myszka” grał w Dynamie Kijów, po wojnie na krótko wrócił do Lwowa, skąd trafił do Bytomia. Mieszkał też w Krakowie, gdzie był trenerem Wisły. Adam Wolanin, piłkarz równie utalentowany, żołnierz, służył w armii Władysława Andersa. Po wojnie osiadł w Chicago i przyjął obywatelstwo amerykańskie. Nadał kopał piłkę. W roku 1950 reprezentował futbol USA na mistrzostwach świata w Brazylii. Jego drużyna pokonała Anglię i właśnie wtedy zapowiedziano pogrzeb futbolu na Wyspach... W Chicago przy burbonie i grze w karty, bo obaj to lubili, z łezką w oku wspominali Lwów i lata swej młodości. Takie były ich „polskie drogi”. Na łamach „Przeglądu Sportowego” utrwaliłem ten sukces bytomian w trzech odsłonach: · **Od Okęcia do Ferencvarosu** · **Sposób na Duklę** · **Słowo „Polak” brzmiało dumnie.**

... Upały niemiłosierne. Piłkarze rzadko wychodzili na zewnątrz, w pokojach ulgę dawała klimatyzacja. Dyżurny robił zakupy, najczęściej taszczył dla całego zespołu kurczaki, a piekł je Jasio Liberda i przedsiębiorczy Paweł Orzechowski. Ten drugi stale miał pod ręką notes i ołówek. Zabawiał się w reportera. Notował ciekawostki i udzielał informacji „polonusom”: „Co porabiają Szołtysik i Lubański z Górnika...”, „Co słyhać u Gałeczki i Majewskiego z Zagłębia?”.

– Jak należy bronić strzały Alberta? – głowił się Szymkowiak.

Przechytrzył Alberta Floriana w sytuacji „sam na sam”, przy stanie 1:0 dla Węgrów. Był to przełomowy moment meczu.

– Czy dr Fenyvesi jest tak samo dobry, jak przed laty? – zastanawiał się trener Matyas.

– Jeśli „Yorkersi” – rozważał Matyas – zdołali pokonać West Ham United i TSV 1860 Monachium, finalistów ostatniego turnieju o Puchar Zdobywców

Pucharów, to... umięją grać! „Półbeton” w defensywie doprowadzili do perfekcji... Polonia wygrała oba mecze. Ale jak pokonać Dukłę?

– Naszym atutem jest szybkość. – przekonywał trener. – Dukła jest mocna w taktyce, ale przeciwstawimy jej młodość, walkę, determinację... Krótkie, agresywne krycie, niekiedy wręcz „pressing”. Orzech musi „siaść” na Jelinku, Nieroba na Vacenovskym, Winkler na Kneborcie, a Anczok na Brunovskym. Zadaniem Szmida jest wyłączenie z gry Masopousta. To połowa sukcesu na zwycięstwo...

– A druga? – pytali zawodnicy.

– Szybki atak!... To rola dla Fabera i Józwiaka...

Telewizja amerykańska transmitowała z „poślizgiem” wszystkie mecze Polonii. Upodobała sobie Zygmunta Szmida wypożyczonego na ten turniej z GKS Katowice. „Zyga” był bowiem cichym bohaterem zwycięskiego meczu z Dukłą. W poprzednich meczach godnie zastępował łowcę bramek Jana Liberdę, ale teraz dla dobra drużyny „zaopiekował” się Masopoustem. Piłkarz numer jeden w Europie w roku 1962 nie pogrążył się przy graczach z Katowic.

W dniach pobytu Polonii Bytom w USA, zwłaszcza po wygranej z Dukłą, słowo „Polak” brzmiało wyjątkowo sympatycznie. Zawodnicy odczuwali to na każdym kroku. Przed rokiem z sukcesu Zagłębia Sosnowiec cieszył się Jan Kiepusza światowej klasy tenor, w 1965 z postawy Polonii dumna była legendarna lekkoatletka Stanisława Walasiewiczówna. W telegramie gratulacyjnym napisała, między innymi: *„Wielu naszych rodaków żyje w USA w cieniu bogaczy, ale gdy będziecie rywali, właśnie o Polakach mówiono wówczas najwięcej. Dziękuję Ci Polonio!”*

Podczas gdy Górnik Zabrze, Zagłębie Sosnowiec i Polonia Bytom rozślawiały nasz futbol w Ameryce Północnej, ich od lat najgroźniejszy rywal Legia Warszawa, nieznacznie wzmocniona kilkoma zawodnikami z innych drużyn w zielonych mundurach, wozowała po Dalekim Wschodzie. U schyłku 1963 roku w Wietnamie odbywała się piłkarska spartakiada drużyn wojskowych. Suk-

cesów na miarę klubów śląskich w USA nie zanotowano, ale do wyprawy przygotowywano się równie starannie, jak w 1959, gdy Legia jako pierwsza z polskich drużyn z powodzeniem występowała za Oceanem. I wtedy w Stanach Zjednoczonych i teraz w Wietnamie pierwsze skrzypce grał Lucjan Brychczy.

Podróż do Wietnamu była długa i męcząca. Najpierw przelot z Warszawy do Moskwy i... pierwsza przerwa. Zwiedziliśmy zabytki Kremla. Mróz, jak cholera, a Brychczy, Gmoch, Blaut, Żmijewski, Piechniczek, Apostel i ich kole-dzy w wojskowych płaszczkach. Iłem-18 lot Moskwa – Pekin. Za nami Ural, pierwsze śródlądowanie w Świerdłowsku, następne w Omsku, Nowosybirsku i Irkucku. Dają dobrze jeść, na okrągło kawior, sałatka z krabów, pieczony kurczak i coś do popicia. Blaut i Gmoch śpią nawet podczas posiłków, Piechniczek nazywany przez legionistów „I’am sorry” nawet na wysokości 9000 metrów studiuje rozprawy filozoficzno-społeczne Adama Schaffa i Leszka Kołakowskiego. Doktor Jerzy Sulej opisuje uroki podróży, a sędzia piłkarski komandor Tadeusz Osiadacz opowiada, jak to bywa w Murmańsku na półwyspie Kola...

– Tam dopiero jest zima! Aż oczy kołkiem stają...A i podróż morska jest bardziej uciążliwa, niż lotnicza. W samolocie tylko niektórzy, a na pełnym morzu prawie wszyscy chorują – pociesza wrażliwych na wstrząsy.

Przelatujemy nad jeziorem Bajkał. Niecodzienne to przeżycie. Teraz w samolocie każdy jest sobie bliski, przyjacielem, kolegą, znajomym, bratem i prawie każdy śpiewa „Włóczęgę”. Jeden wielki chór w przestworzach! „*Za Bajkałem, gdzie złota szukają wśród gór...*” Strzelają korki z szampana, dużo tego jest, trzeba pić. Tu taka tradycja, ludzie Sybiru częstują... Wódki nie podają, tylko „Igristoję”... Lądujemy w Irkucku. Mróz duży, minus 26 stopni, ale pogoda piękna. Ci-sza, wiatr nie szaleje, słońce świeci, nie odczuwa się tej groźnej syberyjskiej zimy. Służby sanitarne sprawdzają czy do „żółtych książeczek” mamy wpisane szczepienia na cholere, ospę, dur brzuszny i... lecimy do Pekinu.

Przelatujemy nad Ułan Bator stolicą Mongolii. Po jakimś czasie znowu ożywia się komandor Osiadacz.

– Panowie, żołnierze! Spójrzcie przed siebie... Mur chiński...

Lądujemy w Pekinie, tu przez kilka dni będziemy oczekiwać na połączenie z Hanoi. Paszporty posiadamy wszyscy, ale nie ma w nich chińskich wiz wjazdowych. Za to jest niemała zagwozodka. Uważają tu nas za przestępców. Prowadzą jak stado baranów, gdzieś na zaplecze lotniska i wsadzają za kratki. Niewielka klatka, typowe miejsce odosobnienia. Za jakie grzechy? W miarę szybko odnalazł nas zastępca attache wojskowego w Pekinie kapitan Józef Berent i uwolnił z kłopotów. Autokarem udaliśmy się do ambasady.

Zamieszkałem w jednym pokoju z obrońcą Legii, Henrykiem Grzybowskiem. Odwiedził nas mój kolega z „dziennikarki”, teraz korespondent „Trybuny Ludu”, red. Daniel Luliński. Był z żoną, również absolwentką naszego wydziału, Barbarą Sobierajską-Lulińską. Długimi godzinami wspominaliśmy dawne dzieje. Pytali, co słyhać w Polsce, ale mnie bardziej interesowało życie w Chinach. Tu, w ambasadzie było w zasadzie wszystko: ciepło, dobre spanie i jedzenie. Najbardziej cieszyły wzrok, ale i wzbudzały zazdrość rzadko u nas widywane owoce południowe: banany, mandarynki, pomarańcze, cytryny. Na zewnątrz jednak szaro, biednie, wszyscy jednakowo ubrani, wyraźnie kontrastuje to nawet z szarawą Polską. Mało samochodów, dużo rowerów, zmęczony Chińczyk odpoczywa w... przysiadzie.

Poznałem kawałek Pekinu. W restauracji zaskoczenie – przydzielone sale dla gości zagranicznych. Getto dla nas czy miejscowych? Smakowałem specjalności chińskiej kuchni. Zamawiał Luliński, a ja jadłem, co podano. Było bogato, aż dwanaście różnych dań, najwięcej owoców morza, wszystko bardzo pikantne. Wódki ani kieliszka, tylko wino i piwo. W ogromnej hali targowej jest wszystko, czego dusza zapagnie. Brak tylko kupujących. Sprzedawcy zachwalają swoje wspaniałości, ale... każą płacić walutą z drugiego obiegu. Nie dla mnie sznur

samochodów... Za juany tylko w magazynie dla obcokrajowców można coś kupić. Wybór niewielki, głównie słynne chińskie tkaniny i nietypowe zabawki dla dzieci. Same pistolety i kolorowe race. Lalek nie widziałem... Kupiłem żonie kupon tafty na sukienkę. Poszła w tym na Bal Mistrzów Sportu.

Być w Pekinie i nie zwiedzić Pałacu Letniego, to tak jak w Rzymie nie wrzucić monety do fontanny Trevi! Pałac usytuowany z dala od centrum miasta poraża przepychem. Kaskady wody, egzotyczna roślinność, moc stylowych zabudowań i prześliczna pagoda rzucają na kolana. Zwiedzaliśmy te cuda przez cztery godziny. A potem powrót do centrum i rzut oka na cesarski Pałac Zimowy, niegdyś „miasto zakazane”. Uderzał monumentalnym stylem hotel „Pekin” i największy na świecie plac defilad Tienanmen. Piłkarze też to wszystko oglądali, bo czasu mieli sporo. Treningów praktycznie nie było, bodaj tylko dwa – trzy razy grano w „dziada” na korcie dla dyplomatów.

Dziś plac Tienanmen w krajach demokratycznych ma fatalną opinię. Nadal zadziwia jego wielkość w metrach kwadratowych, ale przeraża pamięć o zbrodniach jakich między innymi tu właśnie dopuszczali się władcy komunistycznych Chin. Co się od tamtych czasów zmieniło? W centrum Pekinu wciąż rzuca się w oczy portret przewodniczącego Mao, jednak już nie wiszą tam zdjęcia Marksa i Engelsa. Obecni przywódcy tego coraz lepiej rozwijającego się państwa przekonują, że potrafią obiektywnie i odważnie oceniać własną historię. Przyznają, że „rewolucja kulturalna” spowodowała katastrofalne skutki dla kraju (nie tylko tam! – przyp. autora), jednak zasług Mao Tse Tung w rozwoju chińskiego społeczeństwa nie negują. Więcej, podkreślają jego dużą rolę w dziejach Chin. Ich sprawa...

Przelot z Pekinu do Hanoi był dramatyczny. Przez cały dzień tłukliśmy się małym Iłem – 14. Trzęsło niemiłosiernie. Kilku zawodników chorowało, jak kłody leżeli na pokładzie samolotu. Mnie to jakoś nie brało. Przeglądałem pisma w różnych językach i materiały propagandowe. To specjalność komunistycznych

Chin. Mnóstwo rewelacji! Dowiedziałem się, że jedynym krajem wiernym klasie robotniczej jest Albania. Największym zdrajcą wspólnoty socjalistycznej Jugosławia... Tragiczna śmierć Johna Kennedy'ego – to o jednego ciemniejszą imperialistycznego mniej... Chirurg udanie zoperował rękę rannego robotnika, bo obaj czerpali wiedzę z mądrości zawartych w „żółtych książeczkach” przewodniczącego Mao Tse Tungu... I jeszcze wiele podobnych bzdur.

W Hanoi wszystkie ekipy zamieszkały w hotelu „Metropol”. Przeskok klimatyczny ogromny. Kilka dni wcześniej duży mróz dokuczał w Moskwie i Irkucku, w Pekinie temperatura w granicach zera, a tu ciepło, jak u nas w lipcu. Strefa zwrotnikowa. Rozgrzane, wilgotne powietrze chłodzi potężny wiatrak. W nocy moskitiery chronią przed podzwrotnikowymi owadami. Zimowe stroje zostawiamy w hotelowych szafach i na letniaka jedziemy do Hajfongu. Tam któregoś dnia jest tylko 17 stopni powyżej zera. Dla Wietnamczyków to już zima. Dzieci ciepło poubierane, czapki z nausznikami na głowach.

Przed turniejem obejrzelismy przeładowany wątkami propagandowymi spektakl „Pieśń jedności” (Ket doan). Odwiedzaliśmy wietnamskie szkoły, niektóre ekipy zaprezentowały tam własne programy artystyczne. Obrońca Szafranek z Dukli Praga a capella popisywał się arią z operetki „Rosemarie”. Nasi piłkarze byli w nieco lepszej sytuacji; też śpiewali, ale wraz z moim akompaniamentem na akordeonie. To podniosło emocje. Naszą „Kukułeczkę” i inne piosenki „Mazowsza” nucili również Wietnamczycy i goście z Europy. Następnego dnia o siódmej rano wszystkie ekipy przyjął prezydent DRW Ho Szi Min. Skromnie ubrany: jednolity, jasny tropik i skórzane sandały. Długa bródka i rzadkie wąsy, takie – jakie znaleźliśmy z fotografii.

– Ale zdjęcia nie oddają w pełni osobowości Ho Szi Mina – filozofował Jacek Gmoch. – To bardzo ujmujący człowiek, bezpośredni... Słyszeliście? Nie lubi, gdy tytułuje się go „prezydentem”... Prosi, by nazywać go „Diadia Ho”...

Byliśmy też w Muzeum Armii (Bao Tang Quan Doi). Na potężnych, żywo oświetlonych planszach zapoznaliśmy się z trzema fazami rewolucji wietnamskiej, zakończonej w roku 1954 głośną bitwą pod Dien Bien Fu. Barwna makieta w skali 1:800 w pełni odtwarza teren i przebieg tej bitwy. Mordercze walki trwały w sumie 55 dni i nocy. Ho Szi Min odznaczył wszystkich uczestników tej batalii. Wkrótce na gruzach Dien Bien Fu powstało Państwowe Gospodarstwo Rolne.

W Hajfongu mieszkaliśmy w Cat Bi Hotel. Położone tuż obok boisko sportowe było do naszej dyspozycji. Miejscowi ćwiczą tu gimnastykę, biegają i kopią piłkę już od piątej rano. Bez Brychczego, Grzybowskiiego i Żmijewskiego, a z Apostelem i Blautem tylko przez 45 minut, nasi „żołnierze” zremisowali z reprezentacją Hajfongu. Twarde boisko, Mahselli i Gmoch odparzyli stopy. Tę grę kontrolną obserwowali Polacy z misji handlowej, członkowie „Międzynarodowej Komisji Rozjemczej” i marynarze ze statku „Phenian”. Po grze zorganizowano tam niezłą popijochę. Nieźle „podcięty” Antek Mahselli podszczypywał żonę rumuńskiego generała. Omal nie dostał po pysku. Z Kanadyjczykami z „Komisji...” szybko się zblatowałem. Codziennie, by uchronić nas przed amebą, zapraszali na szklaneczkę whisky. Rewanżowaliśmy się „Wyborową”.

Z Hajfongu udaliśmy się do Hon-Gayu na mecz z Duklą Praga. Pyszna podróż. Najpierw wojskowym samochodem, a potem promem. Na wodzie dżonki, barki jako stałe miejsce zamieszania, na maleńkich wysepkach restauracje... Wokół skały, na pełnym morzu i na brzegach podzwrotnikowa roślinność. Rybacy łowią wszystko, co żyje w wodzie: ryby, homary, kraby, ośmiornice. W czasie posiłków wielu piłkarzy odrzucało te pyszności, woleli przywiezioną z Polski konserwową szynkę. Ja pożerałem owoce morza...

Trzy przeprawy promem. Wszędzie uroki Dalekiego Wschodu: historyczne malowidła, kobiety z nosidełkami i z dziećmi na plecach, rybacy, żeglarze, żniwiarze, gaje trzciny cukrowej, banany, mandarynki. Niezwykły krajobraz... „Ry-

żowe pola w wodzie mokną... Barwoły groblą ciągną wóz...” – jak w znanej piosence Janusza Gniatkowskiego. Egzotyka na każdym kroku i... cywilizacyjne zacofanie. Na wąskich wiejskich dróżkach kobiety rozkładają maty i cepami młóćcą ryż. Nasz opiekun zdradza tajniki uprawy tego zboża: – **Ryż musi mieć nogi w wodzie, a głowę w słońcu. Wtedy jest najlepszy...**

W Hon-Gayu zamieszkaliśmy w tym samym hotelu- pensjonacie, co piłkarze Dukli Praga, dosłownie kilkadziesiąt metrów od morza. Nam, wtedy mało jeszcze obeznanym z wielkim światem zachodnim, zastępowało to francuską Rivierę. Woda, plaża, palmy, luksusowe tarasy, nowe leżaki. Dziewczyny podają napoje. Na mecz z Duklą znowu przeprawiamy się promem. Boisko prymitywne, ale wokół bieżni komplet widzów. Dopingują naszych: Balan! Balan!, co znaczy Polska! Polska! Mecz kończy się remisem 2:2. Wietnamczycy oczekują na dogrywkę. Regulamin tego nie przewiduje, gospodarze są zawiedzeni. Nasza wojskowa zbieranina uplasowała się w tym turnieju poza strefą medalową. Tylko Brychczy, obok Rumuna Pavloviciego, był tu gwiazdą powszechnie podziwianą. „Kici” nie uznawał taryfy ulgowej. W każdym meczu dawał z siebie wszystko. Kłaniali mu się w pas Masoupust, Novak i Pluskal. Podziwiał Jaroslav Vejvoda...

Zaprzyjaźniłem się z trenerem Dukli. Wtedy jeszcze żaden z nas nie przypuszczał, że w połowie 1966 roku Czech podejmie pracę w Legii Warszawa. Wietnam pożegnał wojaków skromnym bankietem. Przypadły nam do gustu gorące sajgonki, coś a’la nasze krokiety z mięsem, tylko w nieco innym opakowaniu. Popijano ten rarytas wietnamską „ryżówką” – już nie tak smaczną – w butelkach wielkości naszego małego „Żywca”. Rosły obrońca albański, na oczach graczy z innych drużyn, na „dzień dobry” duszkiem wlał w siebie całą fłaszeczkę. Spodobało się to jakiemuś pyszałkowatemu Węgrowi i zapragnął przepić z Albańczykiem brudzia. Przełknął najwyżej pół bu-

telki... To uraziło ambicję potomków Skanderbega. Przytrzymali Węgra za rękę i wpompowali mu w gardło resztę zawartości. Madziar padł na ziemię, jak ścięty piorunem.

Głupich nie sieją, sami się rodzą. „Popisy” Albańczyka obserwował też już nieco podchmielony nasz rezerwowy bramkarz Ignacy Penconek. Wystartował z flaszką. Albańczyk nie pękał, wypił już trzecią do dna. „Ignac” też pociągnął „po całości”, nie padł, lekko tylko się zachwiał, koledzy pomogli mu wsiąść do autokaru. Tam Penconek zasnął. Kolejną alkoholową balangę, teraz już tylko w naszym gronie urządził komandor Osiadacz. Pościągał z półek hotelowego baru wszystkie rodzaje wódek i zataszczył je do swojego pokoju. Chętnych na „poprawiny” było sporo. Finał opłakany – nie przywykłych do takich wyskoków długo cucono pod zimnym prysznicem.

Powrót do kraju wypadł tuż przed wigilią Bożego Narodzenia. Znowu na kilka godzin zatrzymaliśmy się w Irkucku. Serce Syberii ma niewiele połączeń z Moskwą. Zmęczeni, głodni, zmarznięci i pełni obaw, czy przed świętami zdążymy wrócić do kraju, przemęczyliśmy się tam kilkanaście godzin. W Moskwie wylądowaliśmy tuż przed północą.

– To już jest sukces! – cieszyli się piłkarze. – Jesteśmy w Europie, stąd do Polski niedaleko...

To prawda, ale tu o samolot było jeszcze trudniej, niż w Pekinie i Irkucku. Boże Narodzenie w Moskwie? Nikt w kraju nie wiedział, co się z nami dzieje. Znowu w nocy z bagażami na lotnisku? Można umrzeć z nudów. Na szczęście, otwarte było stoisko z alkoholami. Wykupiono chyba cały zapas szampana i tak skracano oczekiwanie na odlot do Warszawy. Z rozpaczy po butelkę sięgnął nawet Benio Blaut, z reguły stroniący od alkoholu.

– W styczniu 1964 roku wracam z Legii do Odry Opole – mówił – jest więc okazja, by pożegnać się z kolegami.

Opowiadano dawne legionowe kawały, przypominano też niedawne mecze z Górnikiem Zabrze. To były te pierwsze, autentyczne klasyki naszej ligi.

– Dwa lata temu w Zabrzu – zawiadaczko uśmiechał się Grzybowski – wygrywaliśmy 1:0, potem długo był remis, ale Górnik nadal grał słabo. Wtedy do akcji wkroczył prowokator „Jana”. Chytra bestia! Zaczął złościć, wyzywać, kopać „Marcela”. „Jana” dobrze znał „Marcela”, wiedział, że ten nie da sobą pomiatać. Cel osiągnął. Strzykalski wytracony z równowagi zamiast pilnować Pohla gonił Jankowskiego po całym boisku. O Ernestie zapominał... A Ernest, to jest Ernest!... Strzelił w tym czasie cztery bramki i Górnik wygrał 5:1...

– Mnie „Mari” – podchwycił temat Antek Mahsell – często podpity budził w nocy i wyzywał od najgorszych, jeśli nie chciałem mu pożyczyć forsy na rachunek w „Melodii”. Bywał tam najczęściej z Jurkiem Słaboszowskim. Żaden z nich wódką nie gardził, ale kasę trzymały żony. Dwa golasy. Dla świętego spokoju, by nie obudzić sąsiadów, sięgałem wtedy po portfel, no i „Marcel” wracał do knajpy. Żegnał mnie czule: – Horst, buźka, już nie idź spać... Ja tu chyba jeszcze wrócę...

– A pamiętacie, jak to po krytycznym artykule redaktora o Górniku Zabrze „Jak to było w RFN?” – młodociani głupcy podśpiewywali „pod żyletą”: – Powiedz mamó, powiedz ojczu, czy górnicy to folksdojczu?...

Jedna z żon piłkarzy nie kryła oburzenia.

– Co oni wyśpiewują?!... I to o górnikach?! To duma Polski!... Dzięki nim mamy węgiel...

– Na ch.. nam węgiel! W Warszawie mamy gaz i elektryczność! – Wulgarnie zareagował Stasio „Kulawka”. Górnik wygrał wtedy na Łazienkowskiej 2:1.

Niezbadane są wyroki niebios. Nad ranem, dzień przed wigilią kosztem innych pasażerów, znalazły się dla nas miejsca w rejsowym samolocie do Warszawy. Jednak gwiazdka w rodzinnym domu! Zmęczenie długą podróżą i wy-

pite szampany dały o sobie znać. Przespałem dzień, noc, odżyłem dopiero przed pojawieniem się pierwszej gwiazdki. Wigilia z rodziną... Blaut dobił do Opoła, Piechniczek do Chorzowa, ale Benio rychło wrócił do Warszawy. Grał w Legii jeszcze kilka ładnych lat. Z Łazienkowską nie tak łatwo się rozstać...

Jesień smutek niesie... Taki nastrój panował w PZPN po przegranych eliminacjach o Puchar Świata. Podle czuli się przede wszystkim członkowie „komisji selekcyjnej”. Dwóm z nich Wiesławowi Motoczyńskiemu i Karolowi Krawczykowi podziękowano praktycznie już po przegranej 1:6 z Włochami, natomiast Ryszard Koncewicz poprowadził reprezentację jeszcze w meczu towarzyskim z Anglią w Liverpoolu. „Faja” zawsze był za jednoosobową odpowiedzialnością w pracy z drużyną narodową. Złośliwcy twierdzili, że miał tu na myśli wyłącznie siebie.

W styczniu 1966 roku właśnie w spotkaniu z Anglią Koncewicz pokazał, co faktycznie potrafi. Tak wyselekcjonował zawodników i tak ich w Bułgarii przygotował, że w środku zimy uzyskali w Liverpoolu wynik o jakim dziś można by tylko pomarzyć. Remis 1:1 był dla zasłużonego trenera godnym pożegnaniem z reprezentacją, potwierdził też wiele jego wcześniejszych przemyśleń. Jeden selekcjoner-trener i solidna praca na zgrupowaniach centralnych – to „conditio sine qua non” w pracy z drużyną narodową. Sugestie na owe czasy słuszne, dłuższe obozy kadry były niezbędne, bo w klubach pracowano nie na miarę potrzeb reprezentacji. Nadal jednak miałem wątpliwości, czy każdy polski trener dorósł do samodzielnego prowadzenia drużyny narodowej.

W lutym 1966 roku odklepano kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawcze PZPN. Walki wyborczej nie było, przeto nieco więcej czasu niż zazwyczaj, poświęcono właśnie szkoleniu w klubach i sprawom reprezentacji. Zlikwidowano komisję selekcyjną i ku dużemu zaskoczeniu pieczę nad reprezentacją powierzono Antoniemu Brzeżańczykowi. To były piłkarz Lecha Poznań i trener

Stali Mielec, do niedawna też reprezentacji Polski juniorów. W krajowym piłkarstwie dotychczas nic wielkiego nie osiągnął, ale... na bezrybiu i rak ryba. Ten wymuszony awans przerósł możliwości Brzeżańczyka. Samodzielnie prowadził reprezentację w sześciu meczach i żadnego z nich nie wygrał.

Zbliżały się kolejne eliminacje mistrzostw Europy. W grupie z Belgią, Francją i Luksemburgiem nie byliśmy faworytem, ale też nie kopciuszkiem. Można powalczyć, jak równy z równym! Ale czy nadal z jednym Brzeżańczykiem? Odgrzebano formułę trzyosobowej komisji selekcyjnej. Był w niej Kazimierz Górski już wtedy fachowiec pełną gębą, ale miał status drugiego trenera. Najważniejszy w tym tercecie był jednak Klemens Nowak, co znaczna część środowiska uznała za wyraźny ukłon pod adresem Gwardii Warszawa. Zaczęli nieźle, od zwycięstwa w Szczecinie nad Luksemburgiem 4:0. Następny mecz z Francją w Paryżu był jednak nieudany, na Parc des Princes przegraliśmy 1:2. Obserwował tam naszą drużynę „niedawny jej opiekun”, Francuz Jean Prouff.

– Widać poprawę w wyszkoleniu technicznym – powiedział – ale to wciąż za mało. Gracie nierówno... Brak stabilizacji i dyscypliny taktycznej. Nie umiecie wykorzystać doskonałych warunków fizycznych.

Biednemu wiatr w oczy wieje... Na Parc des Princes przez większą część meczu graliśmy w „dziesiątkę” bez kontuzjowanego Jacka Gmocha. Francuzi narzucili nam swój kombinacyjny sposób gry, byli wyraźnie lepsi w ataku pozycyjnym i po 25 minutach ze strzału Di Nallo zasłużenie prowadzili 1:0. Kwadrans po przerwie Ryszard Grzegorzczak zdobył jednak wyrównującą bramkę. Do 84 minuty utrzymywał się wynik remisowy. Wtedy jednak „pękła” zdekompletowana obrona i nasz rodak z Francji George Lech zapewnił Francuzom zwycięstwo. Nie musieliśmy tego przegrać!

Z wysokości trybuny odniosłem wrażenie, że nie wszyscy zawodnicy grali na pełnych obrotach. Obronę osłabioną brakiem Gmocha dobrze wspierał tylko

Piotrek Suski, chwilami ambitnie walczył Roman Strzałkowski, ale w napadzie widoczny był tylko Andrzej Jarosik. W dzienniku „L'Equipe” nazwano go „połykaczem przestrzeni”. Inne pisma były bardziej krytyczne. „Paris Jour” końcowy wynik uznał za „szczęśliwy dla Polaków”, a „Le Figaro” po prostu nas ośmieszyło: – „Technika Polaków przypominała broń z innej epoki”. Ze zrozumieniem odniosło się do naszej gry tylko „Humanite”, sugerując, że w meczu rewanżowym w Warszawie Francuzi mogą mieć kłopoty. Moim zdaniem najbliższe prawdy były dzienniki „Le Parisien” i „L'Aurore”: ... „Polacy nie potrafili wykorzystać swojej szansy, bo to nie był najlepszy dzień trójkolorowych”. Co na to nasz trener Antoni Brzeżańczyk?

– Odniosłem wrażenie – powiedział zde gustowany – że Oślizło i Lubański, którzy już w poniedziałek odlatują do Budapesztu na trzeci mecz Górnik z Vorwaertsem Berlin o Klubowy Puchar Europy, nie dali w tym spotkaniu z siebie wszystkiego...

Mój komentarz w „Przeglądzie Sportowym” „**Cud zdarza się raz...**” był znacznie ostrzejszy: – „Polacy grali w Paryżu słabiotko, zwłaszcza w pierwszej części meczu... Bez koncepcji i stylu... Z czwórki napastników: Sadek, Lubański, Liberda, Jarosik tylko sosnowiczanie grał na miarę swoich możliwości. Pomoc nie była osią drużyny”.

Znacznie lepiej spisali się nasi reprezentanci na występie w Folies Bergeres. Dzień po meczu w Paryżu padał deszcz. Wycieczkowicze ze Sports – Touristu i wszyscy nasi piłkarze wybrali się do kabaretu. I tu miłe zaskoczenie, znaczna część programu była poświęcona Polakom. Niektóre numery zapowiadano po polsku, akordeonistka uraczyła nasze uszy polonezem A-dur Chopina i kujawiakiem „Kaczki za wodą...”. Był to dopiero początek atrakcji. Prowadząca program zapowiedziała konkurs tańca.